

Szrukuj

Krzysztof Lipka

*Pamięci mojej ciotecznej babki,
Marty Gundlach (1888–1966)*

Nie mam bynajmniej zamiaru pisać tu o kołysankach, ale kołysanki stanowią dla opowieści, którą pragnę wysnuć, odpowiedni punkt odbicia. Pamiętam mianowicie z dzieciństwa trzy kołysanki, każdą w innym języku. Matka śpiewała mi po polsku kołysankę najbardziej banalną, którą jednak będę zawsze kochać dlatego, że należy do moich pierwszych, najdawniejszych wspomnień i dlatego, że śpiewała mi ją matka.

Śpij, dziecińko, już,
Śliczne oczka zmrzuj.
Matka cicho nuci śpiew,
Wokół słyhać szelest drzew,
W dali dziad wyciąga rękę,
Pies oberwał mu sukienkę,
Ciebie strzeże Anioł Stróż.
Śpij, dziecińko, już.

Od chwili, w której zacząłem rozumieć treść tej pieśni, najbardziej mnie niepokoił ów dziad, który nie wiadomo co robił w mojej kołysance; i zdawało się, że nawet jeżeli miał stanowić przeciwagę do obrazu spokoju i opieki, którą ja byłem przez Anioła Stróża (i nie tylko) otoczony, to tak czy inaczej szarpiający jego łachmany pies na pewno nie pomagał gładko zapadać w sen.

Wszystko to działo się w Łodzi, gdzie w latach powojennych język niemiecki bynajmniej nie był rzadki, i to nie wśród Niemców pozostałych po wojnie, ale wśród dawnej, przedwojennej ludności tego miasta, która nierzadko w pierwszym pokoleniu była spolonizowana i jej pierwszym językiem, wyniesionym z domu rodzinnego, był niemiecki. Takie było właśnie pochodzenie starej Klembergowej, kościwej babki, która, mieszkając naprzeciwno, przychodziła do

nas codziennie w charakterze dochodzącej służącej. Coś tam ugotowała, starła kurze, doglądała nas, dzieci. Z lubością śpiewała mi niemiecką kołysankę, rozglądając się tylko spod oka, czy aby ktoś dorosły nie słucha; język niemiecki nie był mile widziany w naszym domu, babka i ciotka zginęły w Ravensbrück. Stara Klembergowa śpiewała:

Schlafe, mein Geliebter,
Schliess die Augen zu...

Dalej już dziś nie przypominam sobie słów owej niemieckiej kołysanki, ale pamiętam jak przez mgłę, że jej słowa były żadne, jak to się mówi o niczym, łagodne i nie przeciwstawiały mojemu szczęściu żadnych okrutnych obrazów w dalekim świecie. Do dziś doskonale pamiętam całą melodię tej pieśni, ale słowa mi już umknęły.

I trzecia kołysanka, w języku rosyjskim. Ciotka mojego ojca, pochodząca również z domu o niemieckich korzeniach, wówczas, kiedy miałem lat kilka, była już emerytowaną nauczycielką; swego czasu jednak cieszyła się sławą świetnej polonistki. Zaprzyjaźniona z profesorem Kazimierzem Nitschem, który z nią korespondował do śmierci, także z profesorem Zenonem Klemensiewiczem, nauczycielka Juliana Tuwima, który wspominał ją, Martę Gundlachównę, nawet z nazwiska, w swych wspomnieniach z czasów szkolnych, zamieszczonych w tomie różnych autorów, zatytułowanym *Kreda na tablicy*. Znała kilka języków, niemiecki jak polski, urzędowy rosyjski wyniosła w carskich szkołach, francuskim władała bardzo biegle. Ciotka Tunia w sumie była postacią niezwykłą, schorowana, pokrzywiona, wечно białoląca, do ostatnich chwil życia całe dni spędzała wśród różnorodnych książek, zajmowała się etymologią, słowotwórstwem i lubiła na te tematy każdemu czynić wykłady, na



przykład spotkanej na schodach sąsiadce, kobiecie bez podstawowego wykształcenia. Wciąż zbierała różne rzadkie egzemplarze, na przykład dziwne i ciekawe nazwiska, do jakiejś swojej niezwykle ponoć odkrywczą naukową tezę językoznawczą, której jednak nie zdołała nigdy na piśmie utrwalić. Nieskazitelną prawości, nadzwyczajnego serca, szerokich horyzontów i bardzo gruntownej wiedzy, należała do pokolenia, które dawno odeszło, nie pozostawiając już ludzi podobnych sobie. Zawdzięczam jej nieskończenie dużo, to ona wychowywała mnie i uczyła w zastępstwie zabieganych i przepracowanych utrzymywaniem domu rodziców. Zawsze miała czas, rzuciła wszystko, by odpowiedzieć na każde pytanie kilkuletniego chłopca, godziny całe trawiła w swej rozległej bibliotece, wyszukując przykłady dobrze ilustrowane poruszone zagadnienie.

Ciotka Tunia uwielbiała muzykę i niestety kompletnie nie miała słuchu. Przeciwnie do mnie, który grałem od najmłodszych lat i miałem w przyszłości pokończyć różne szkoły muzyczne. Tylko tym moim wrodzonym talentom zawdzięczam, że kołysanka, którą śpiewała Ciotka Tunia, zawsze wydobywając z gardła dźwięki o niejasnej intonacji, jednak we mnie brzmi. Jest to melodia dość nijaka, jednostajna, krążąca w miejscu senna kołomyjka, powtarzająca w kółko identyczne niemal frazy i zdania, ale Ciotka, zapewne właśnie z powodu swoich niedomogów muzycznych, twierdziła, że jest to jej najukochańsza pieśń. Była to melodia rzekomo kozacka, lecz chyba raczej – jak dzisiaj myślę – stylizowana, bo, jak się dowiedziałem wiele lat później, skomponowana do tekstu Michała Lermontowa; kołysanka śpiewana kozackiemu dziecku, które miało wyrosnąć na dzielnego wojaka i zginąć, bardzo smutna i gorzka w treści; nie wiem, czemu Ciotka tak mnie nią chętnie raczyła. Tak czy inaczej rzeczywiście uwielbiała tę piosenkę i przetłumaczyła ją specjalnie dla mnie. Ona, tłumaczka idealna i bezbłędna, płynnie czytająca piękną polszczyzną z obcojęzycznych tekstów, nie miała może szczególnych uzdolnień do lotnego i zapierającego dech w piersiach przekładu poetyckiego, ale lubiła to robić dla przyjemności i spisywała swoje tłumaczenia w niewielkim zeszycie, obok skromnych wierszyków, rymowanek satyrycznych czy złotych myśli, które czasem układała. Jest w tym zeszyciku także kilka wartych uwagi białych wierszy z ostatnich lat Ciotki. Układała ten zbiorek specjalnie dla mnie, tak jak dla mnie tłumaczyła kołysankę i pozostawiła mi go z następującą dedykacją:

„Na Twoje życzenie, Najdroższy mój Krzysiu, zbieram tu 'okrucy' mojego życia w nieudolnych dziecięcych i młodocianych wierszykach. Kiedy dorosisz i będziesz już dojrzałym i mądrym człowiekiem, to na pewno, czytając ten zbiorek, machniesz ręką i uśmiechniesz się pobłaźliwie, ale jednocześnie wrócisz myślami do swojej starej ciotki – a raczej babki ciotecznej – Tuni, która Ciebie bardzo, bardzo kochała. Twoja Marta Gundlachówna 1961.”

(Miałem wówczas dwanaście lat, ale to data spisywania przeważnie wierszyków z zamierzchłej już wówczas przeszłości.)

Sięgam dzisiaj po ten cienki zeszycik w zielonej plastikowej okładce, z nalepką, na której czytam dwie linijki skreślone drobnym, nieskazitelnym pismem Ciotki: „Z lat minionych”, zmienić nalepkę na ładną, Tunia”. Nigdy nic nie było z tego zeszyciku publikowane. Dzisiaj otwieram go na odpo-

wiedniej stronie i czytam: „Kołysanka kozacka M. J. Lermontowa, mój przekład z języka rosyjskiego”.

Uśnij, synku, me kochanie, ukołyszę cię!
Księżyc na twoje posłanie błądy blask swój sle.
Opowiem ci bajek wiele, cudnych niby raj...
Śpij, małeńki mój aniele!
Kołyśko, buj – baj!

Wojackiego życia brzemień poznasz, chwycisz broń,
śmiało skoczysz nóżką w strzemię, parsknie rażno koń.
Pstrym jedwabiem wyhaftuję ja siodełko twe...
Teraz pieszczę i całuję
i kołyszę cię!

Ruszysz w wojennej potrzebie – śmiały Kozak, chwat!
Wyjdę ja pożegnać ciebie, – machniesz ręką: at!
Gorzkie moje łzy popłyną z tobą w obcy kraj...
Śpij, małeńka ma dziecino!
Kołyśko, buj – baj!

Dam ci, gdy wypadnie droga, na twe piersi krzyż,
patrz nań, modląc się do Boga i wznosząc myśli wżwyż;
gdy podążysz w groźne boje, matkę wspominać!
Śpij, najdroższe dziecię moje...
Kołyśko, buj – baj!

Rzecz w tym, że kołysankę tę Ciotka Tunia śpiewała mi w obu językach, czasem w swoim przekładzie, czasem w oryginalnym, po rosyjsku. Jednak jej rosyjski śpiew był dla mnie istną torturą; nie dlatego, bym nie lubił tego języka, miałem pięć lat i język rosyjski wydawał mi się, jak i zawsze później, piękny, melodyjny, łagodny; ale było tam jedno zatrzważające mnie miejsce, jedno słowo, które nie wiadomo dlaczego wywoływało w dziecięcym serduszkach grozę: „szrukoj”! Słowo złowrogie i przerażające. Pojawiało się ono w momencie, kiedy Ciotka zbliżała się do połowy trzeciej zwrotki: „machniesz ręką: at!” Po rosyjsku brzmiało to: „ty machniesz ręką”. W tym właśnie momencie zawsze w sposób niewytłumaczalny wpadałem w drzenie i mówiłem: „Ciociu, ja się tego 'szrukoja' boję!” Nie zdały się żadne tłumaczenia, że nie ma mowy o żadnym „szrukoju”, że to zbitka spółgłosek dwóch różnych wyrazów, z których żaden nie ma w sobie ani odrobiny czegoś przeraźliwego. Nic jednak nie pomagało, powtarzałem uparcie: „Tego 'szrukoja' to ja się boję!” I bałem się rzeczywiście.

Nie jest to bynajmniej jakaś anegdota, którą opowiadał mi, kiedy podrosłem. Doskonale pamiętam paniczny strach, który ogarniał mnie na zbliżające się słowo „szrukoj”. Zaciskałem pięści i wtłaczałem je w kurczowo zacisnięte powieki, i sztywniałem jak sparaliżowany, bo nic wówczas na ziemi nie wydawało mi się tak groźne, złowieszcze i mroźne krew w żyłach jak zniechęcony wyraz „szrukoj”. Ciotka śmiała się ze mnie, śmieli się inni, nie skutkowało, „szrukoj” wywoływał we mnie paraliżujący, zabobonny niemal lęk.

Tak to nie istniejące słowo zrosło się w mojej dziecięcej wyobraźni z czymś okropnym i niebotycznie przerażającym, że wkrótce znalazłem wśród walających się po domu rzeczy namacalny odpowiednik owego „szrukoja” z kozackiej koły-

sanki i zaraz też nazwałem ten przedmiot oczywiście „szrukojem”. Miałem i potem nieraz rozmaite rzeczy magiczne, ale nigdy już nic nie przedstawiało dla mnie tak potężnego, całkiem irracjonalnego znaczenia. Była to rzecz o niewiadomym dla mnie wówczas przeznaczeniu, a i z dorosłych jakoś nikt nie wpadał na pomysł, do czego też owo dziwne akcesorium może służyć. Niewątpliwie była to jakaś oderwana od reszty część, jakaś ozdoba, odkręcona od większej całości, bowiem w dole kończyła się wewnątrz gwintowanym kołnierzykiem, świadczącym, że przedmiot ten przynależał do jakiegoś okazańszego urządzenia. Sama rzecz wyglądała następująco; mogę ją dokładnie opisać, mam ją przed oczyma. A więc mniej więcej dziesięć centymetrów długi i cztery wysoki płaski mosiężny płatek nie płatek, grzebień nie grzebień, jakiś dziwnie palczasty, we wszystkie strony najężony szpikulcami uchwyt, na całej swej powierzchni przeparty sporymi ażurami. Z pozoru zupełnie absurdalny i nieużyteczny kawałek ostro, „złoto” błyszczącego metalu, który jednak musiał na dziecku robić niemiłe wrażenie właśnie owymi wysterzczającymi, palczastymi zakończeniami; kształty nieco zgeometryzowane, w innych miejscach znów opływowe, czyniły tę dziwną plakietkę, czy sam już nie wiem, jak to nazwać, bezsensowną i nie nadającą się do żadnego zastosowania i użytku. To był właśnie „szrukoj”.

„Szrukoja” trzymałem w tajemnicy, wyciągałem z ukrycia, kiedy nikt mnie nie widział i patrząc na niego, na jego ostro wystające sterczyny, sam w sobie wzmagałem własny niczym nie uzasadniony lęk; to była ta właśnie rzecz, która zaspokajała i wyczerpywała moje zapotrzebowanie na strach. – Szrukoj... – szeptałem do siebie i zamykałem z obawy przed widokiem złowrogo łyskającego przedmiotu oczy i chowałem go z zawartymi powiekami, by już ponownie nie padł na niego mój załęczniony wzrok.

Czym jest „szrukoj”, wyjaśniła po kilku latach tych zabaw Ciotka Tunia. „Ależ to wspornik na cygara z popielniczki dziadka!” – powiedziała i zaraz sobie wszyscy przypomnieli. Oczywiście, nic prostszego! Po pradziadku Manitusie zachował się garnitur naburkowy z szarego marmuru i mosiądzu, wcale niemały komplet, na który składał się potężny dwupojemnikowy kałamarz z piasecznicą i dzwonkiem na sekretarza, kalendarz z przestawianymi ręcznie datami, suszka, dwa świeczniki, łapka-capka do przytrzymywania karteczek oraz pojemnik na cygara i popielniczka. Niektóre z tych przedmiotów stały tu czy ówdzie w naszym ogromnym łódzkim mieszkaniu, inne, bawiąc się, jak to dziecko, porozkręcałem i porozsiewałem po domu takie czy

inne ich części. Nikt mi tego nie bronił, mieszkanie ginęło pod stosami starych rupieci; nie zwracano na to uwagi, wszyscy w tym zapędzonym domu raczej się cieszyli, że dziecko znalazło zajęcie.

Kiedy „szrukoj” został rozszyfrowany, jakoś sam z siebie automatycznie przestał być groźny. Odnaleziono jego podstawkę, okrągły spodek marmurowy z dziurką pośrodku i za pomocą niewielkiej śrubki zamocowano na nim ów bezsensowny sam w sobie płatek nie płatek, grzebień nie grzebień, tak że teraz służyć może pożytecznie jako podpórka pod palące się i odkładane na spodek cygara czy papierosy. A z czasem, kiedy już miejsce moich zabaw przeniosło się na biurko, marmurowy garnitur po moim już pradziadku Gustawie Manitusie, Superintendencie Generalnym, z mniej więcej połowy XIX w., poskładany i poskręcany, znalazł się na jego blacie. Tu też stoi do dziś i do dziś biorę do ręki, kiedy tylko zechcę, „szrukoja”, zmorem mojego dzieciństwa. I zawsze wówczas przypomina mi się kozacka kołysanka Ciotki Tuni i słowa: „ty machniesz ru-koj”. I moja bezradna dziecięca skarga: „A tego ‘szrukoja’ to ja się boję...”

Ale w tej historii jest drugie dno, czy raczej może druga pointa. Bo przecież trudno pozostawić bez odpowiedzi ten dziwny fakt: skąd u małego dziecka tak niezwykły, niczym nie uzasadniony lęk przed niezrozumiałym obcym słowem? Nawet jeżeli było to lub nie było słowo? Bo strach przed mosiężnym przedmiotem był lękiem wtórnym, przeniesionym, a pierwotne przerażenie wywoływało słowo. Nie wiem oczywiście, jak to wyjaśniać, ale po wielu latach nagle skojarzyłem to nieprawdziwe, rzekomo rosyjskie słowo, „szrukoj”, z rdzeniem niemieckim: *schrecken*, *schrecklich*, *Schrecknis*. Przecież w samej tej właśnie zbitce spółgłosek: schr-, szr- jest coś przerażającego i język niemiecki niezwykle trafnie to właśnie oddaje, chwyta lęk w jego brzmieniowej istocie nieledwie onomatopeicznie. Trafniej niż polskie strasz-, ponieważ w samej samogłosce „a” zawiera się już ukojenie.

Kołysanka kozacka Lermontowa jest pieśnią, która tyle przygotowuje do snu, co do ostatecznego zaśnięcia, do śmierci, oczekującej Kozaka „w wojennej potrzebie”. Nie wiem, czy przerażenie wychwytywałem z tej pieśni intuicyjnie z powodu jej rosyjskiej, wówczas dla mnie jeszcze niezrozumiałej treści, czy też z powodu niemiecko brzmiącej zgłoski, którą tam sztucznie wprojektowałem, kondensującej lęk już w samym swym brzmieniu. Coś jednak musi w tym być, bo intuicja dziecka ma za sobą w tle doświadczenia wielu pokoleń.



rys. Krzysztof Lipka